

The book cover features a deep red background adorned with various botanical and avian illustrations. At the top, a yellow silhouette of a bird is perched on a branch. The cover is decorated with clusters of raspberries, green leaves, and several flowers in shades of pink and white. A decorative horizontal line with ornate flourishes separates the author's name from the title. The title is written in a large, elegant, yellow serif font. At the bottom, a yellow oval contains the publisher's name in white capital letters.

Maria Rodziewiczówna

NIEOSWOJONE
PTAKI

BUKOWY LAS

I



Zwesołego obiadu w gronie kolegów malarzy Jan Stankar wracał do domu. Oni jeszcze zostali przy kieliszku i cygarach, on spojrzął na zegarek i, jakby przerażony, że tak długo zabawił, zerwał się i wziął za kapelusz.

– Do żony ci tak pilno! – ktoś zażartował.

Ruszył ramionami.

– Mają przysłać po ilustracje – odparł znudzonym głosem. – Zresztą dwa dni nie byłem w budzie, trzeba zajrzeć!

I wyszedł szybko, bojąc się żartów, a może pokusy pozostania.

– Potrzebna mu była baba i bachory, jak kojec dla sokoła – posłyszał jeszcze uwagę Franka Poraja.

Na ulicy mrok już ogarniał kąty. Była wiosna, ale jeszcze naga i chłodna, drzewa ledwie pękały po skwerach.

– W Sorrento śniegiem kwitły kamelie! – przypomniał sobie opowiadanie kolegi Mareckiego, który wracał z Włoch właśnie i bawił ich wrażeniami z podróży.

Szedł z rękami w kieszeniach i głową zwieszoną, z uczuciem nieznośnej nudy i rozdrażnienia. Kamienica, do której wszedł wreszcie, stała w ciasnej uliczce, była

odrapana i brudna, schody wąskie, strome, ciemne. Ze wsząd wyzierały na nie wyziewy ubogich kuchen, mydlin i pleśni, spotykał kucharki mniej niż eleganckie i czyste, wiodące z sąsiadkami rozhowory i kłótnie o klucz od strychu, i piął się wyżej i wyżej, aż na trzecie piętro.

Tam zadzwonił do prawych drzwi, spoza których rozlegał się wrzask dziecka, tak przeraźliwy, że świdrował w uszach.

– Ja ją uspokoję! – zamruczał, marszcząc brwi.

Otworzono drzwi. W ciemnej sionce zamajaczyła postać kobieca, która ujrawszy go, cofnęła się bez powitania.

– Czy to dziecko nigdy nie cichnie?! – zawołał niecierpliwie. – Można je znieawidzić lub oszaleć.

Zdjął palto i cisnął je na kufer, stanowiący całe umeblowanie sionki, i wszedł na prawo do dużego, ciemnego pokoju.

Tam to, w jakimś mrocznym kącie, wrzeszczało dziecko.

Ucichło w tej chwili jak czarem, widocznie na rękę matki.

– Gdzie lampa? – zawołał w ciemności.

Wtedy kobieta przemówiła, wychodząc do drugiego pokoju:

– Masz ją na twoim stole. Zapal sam.

Głos był wdzięczny, młody, ale brzmiał bezmiarem znużenia i apatią.

Mrucząc gniewnie, zapalił lampę. Pokój był duży, wąski, zastawiony różnymi sprzętami, gdyż służył jednocześnie za jadalnię, salon i pracownię.

Wraz z sypialnią i kuchnią stanowił całe mieszkanie rodziny Stankarów, składającej się z męża, żony i dwuletniej córki.

Malarz spojrział na stół, zarzucony przyborami malarzkimi, i sięgnął po list, który snadź przyniesiono w czasie jego nieobecności.

Czytał, twarz mu się poczęła rozjaśniać, promienieć, zapał napelniał oczy.

– Tolu, wiesz, kto przyniósł ten list? – zawołał, zwracając się ku drzwiom sypialni.

– Listonosz, wczoraj! – odparła młoda kobieta, ukazując się w progu. Nie wiadomo, jakim cudem uśpiła dziecko.

– Tyś dopiero stworzona na Egerię! – wybuchnęła niecierpliwie. – Otóż, jak zwykle, mylisz się. List ten przyniósł mój dobry geniusz.

Kobieta zbliżyła się w krąg światła. Była bardzo młoda, smukła, zgrabna i uderzającej piękności twarzy, gdyby nie wielka chudość, bladość i wyraz znudzenia i zmęczenia, który ją szpecił i postarzał.

– Więc to pieniądze? – rzekła obojętnie.

Zaśmiał się pogardliwie.

– Pieniądze! Więc ty znajdujesz, że mój geniusz nosi zatłuszczony mieszek, a moje marzenie – liczyć brudne asygnaty.

Trochę krwi wystąpiło na mizerną twarz kobiety. Chciała coś odpowiedzieć żywo, ale zmarszczyła tylko brwi i odparła prozaicznym pytaniem:

– Czy podać ci obiad?

– Dziękuję. Dosyć wachać na schodach te preparaty, żeby stracić smak, a dostać wstrętu!

Kobieta jak automat zwróciła się do sypialni. Wtedy on, rozdrażniony jej chłodem, zerwał się, zmiął list gwałtownie i cisnął go jej pod nogi.

– Masz, depcz, jakieś mi wszystko podeptała! – krzyknął z wybuchem wściekłości.

Kobieta usunęła się – stanęła – i nie straciła cierpliwości.

– Dobij mnie zatem, niech raz będzie tej męce koniec! – zawołała rozpacznie. – Będziemy oboje wyzwoleni!

– Ty! Więc i ty masz aspiracje jakieś, więc ja ciebie krępuję. Duch zapoznany i udręczony! Cha, cha! Więc to ty jesteś ofiarą. Dałaś mi takie bajeczne szczęście, a ja jestem nienasycony tyran, ludożerca, kat!

– Nie, tylko lekkomyślnik, fantastyk i egoista. Kłamałeś mi kiedyś miłość – wierzyłam ci; przysięgałeś mi opiekę i szczęście, nie dotrzymałeś przysięg. Teraz niczego od ciebie nie pragnę, nie wymagam, tylko najelementarniejszej delikatności i spokoju, i tego mi nie dajesz! Czegóż wreszcie chcesz ode mnie, com ci zawiniła, w czym ci dokuczam? Widujesz mnie tylko wtedy, gdy sam chcesz, nie słyszałeś dotąd słowa skargi lub wyrzutu.

– To się skarż, wyrzucaj, mów! Albo ci bronię! Nawet ciekawy jestem, co ty możesz mieć do mnie za pretensje.

– A jakichże mieć nie mogę? Coś ty mi dał?

– Dałem ci moją swobodę i wolność. Coś ty z tego zrobiła, co ja mam w zamian. Tę przeklętą, brudną budę, to wścikłe, wrzeszczące dziecko i twoją wiecznie skrzywioną twarz. Ze zgrozą myślę, że do tego domu muszę iść!

– Gorsza zgroza z tego domu nigdy nie wychodzić, jak ja. Buda jest przeklęta i brudna, bo w niej mieszka niedostatek, dziecko jest płaczące, bo chore ze złego odżywiania i powietrza, a ja mam twarz jak to otoczenie, życie i ściany, wśród których lata mi płyną. Słońce tu nie bywa! Ale to mieszkanie, dziecko i byt – tyś mi stworzył – i tak wygląda szczęście i raj, o którym mi opowiadałeś kiedyś – tam, w Ługach. A ja temu co winna? Wrócić tam nie mogę, iść nie mam gdzie, uwolnić ciebie od siebie, jak? Tylko śmiercią!

W tej chwili dziecko płakać zaczęło. Kobieta weszła do sypialni, pochyliła się nad łóżeczkiem i gorącą, suchą dłoń położyła na główce.

Była tak znękana i zubożniała na wszystko, że nawet słowa ni pieszczoty nie znalazła dla dziecka, które

wiedziała, że płakało z głodu. Od trzech dni Stankar nie był w domu, a zostawił w stoliku dwa bilety na dwuzłotowe obiady i dziesięć złotych gotówką.

Pieniądze poszły na zapłacenie rachunku piekarza. Obiad czekał na niego co dzień. Wczorajszy, przygrzewany rano, dostało dziecko, ale od południa zjadło tylko suchą bułkę i herbatę. Obiad czekał na ojca.

– Mamusiu, daj Jance mli-mli! – ozwało się dziecko żałośnie.

Matka pogładziła ją po włosach.

– Będziesz cicho czekać, aż wrócę, dobrze? To ci przyniosę zupy! – szepnęła.

– Będzie Janka cicho, będzie!

Stankarowa wyszła do kuchenki i poczęła przygrzewać jedzenie. Mąż chodził po pokoju, tu i tam, nierówno, jak dziki zwierz w klatce. Czasem potraçał sprzęt jaki i kłął.

Na każdy taki wybuch kobieta wzdrygała się nerwowo i spoglądała na drzwi, czy nie wejdzie, potem znowu bezmyślnie wpatrywała się w płomyk naftowej kuchenki.

Wreszcie zupa była gorąca. Wylała ją do talerza i poniosła dziecku. Posadziła je na kolanach i karmiła machinalnie. Wtem Stankar stanął w progu.

– Pić mi się chce! – rzekł. – Masz piwo?

Potrząsnęła głową.

– To mi sprowadź.

– Daj pieniędzy, to sama przyniosę. Wiesz przecie, że służąca odeszła w zeszłym tygodniu.

– To się jej nie dziwię, a zazdroszczę, że się z tej nory wyzwoliła.

Kobieta podniosła głowę, popatrzyła na niego i roześmiała się. Było to coś tak niesłychanego, śmiech na jej ustach, że on się stropił.

– Cóż to znowu. Zwariowałaś. Czego się śmiejesz!

– Narzekałeś, że zawsze skrzywiona, więc się śmieję! Powinieneś być rad – odparła, wstając.

– To są żarty godne ciebie! Dlaczegoż dotychczas nie postarałaś się o drugą służącą?

– Dla dwóch kardynalnych racji. Po pierwsze, że nie chcę mieć świadka scen, które tu się dzieją, i być pośmiewiskiem całej kamienicy, po drugie, że poprzednia nigdy nie dostawała zasług w porę – i na ciągłe upokorzenie z tego powodu nie chcę się narażać powtórnie.

– Jak sobie chcesz. Służ tedy sama, hrabino! Takiś olbrzymi wniosła posag!

Teraz on się roześmiał i dobywszy z kieszeni garść miedzi i srebra, rzucił na stolik.

– Przynieś sześć butelek piwa – rozkazał, wychodząc.

Stankarowa zaczęła usypiać dziecko. Nie była to łatwa sprawa. Dziewczynka protestowała ile sił i mocy. Było to stworzenie uparte i grymaśne, nieprzystępne żadnej prośbie ni groźbie, gdy się raz zbuntowało.

Ułożona w łóżeczku, wierzgała, kręciła się, odpychała matkę i aż siniała z płaczu i krzyku.

Stankar usiadł do roboty. Ilustrował jakąś powieść, potrzebował skupienia i spokoju, gdy go ten krzyk poderwał.

– Cicho! – zawołał, porywając się za głowę.

Ale dziecko, jeśli możliwe, wrzeszczało jeszcze głośniej. Wtedy on cisnął ołówek, zerwał się, wypadł do sionki, chwycił kapelusz i palto i uciekł, czując, że gdyby pozostał, popełniłby chyba kryminal.

W pół godziny potem Stankarowa zdołała uspokoić dziecko. Stała chwilę na środku pokoju, zdumiona, że przecie jest cicho, i zaraz przypomniała sobie polecenie męża. Zwykle nieśmiała i lękliwa do miasta i ulicznego gwaru, teraz z zadowoleniem pomyślała o wyjściu. Ubrała się żywo i zbiegła szybko ze schodów.

„Wiosna już!” – pomyślała, wychodząc na ulicę.

I oto stało się coś dziwnego. Nic ją zda się poruszyć nie mogło, nic zająć, rozrzewnić, wydobyć z duszy dźwięk, z oczu łzy. Ale na tę myśl poczuła, że jej serce zadrgało i ścisnęło się gardło łagodną żalnością.

– W Ługach już sady kwitną i pachnie ziemia. Żaby rechocą w księżycowe wieczory – i życie młode kipi. Jaki gwar tam – w ciszy!

Przycisnęła rękę do piersi, spojrzała w górę i łzy się rzuciły do oczu.

– Mój Boże, godzinę tam być, a odżyję i wszystko zniosę. Godzinę tylko, godzinę! – szepnęła błagalnie.

Jakiś przechodzień spojrzał na nią, ocenił – i stanął.

– Czy pani się zbłąkała? Może przeprowadzić? – rzekł.

Jak spłoszone dzikie zwierzę poskoczyła naprzód, zbudzona brutalnie z chwili marzenia. I w jednej chwili wrócił jej lęk ludzi, wstręt do ulicy i tłumu. Biegła prawie, śmiertelnie wystraszona, bo czuła instynktem, że jest ścigana przez rozpustnego próżniaka, któremu wpadła w oko.

Dogonił ją i usłyszała cyniczny głos:

– Bardzo widocznie pani śpieszno. Po nocy takim pięknym panienkom nie godzi się chodzić bez towarzystwa i opieki. Dokąd pani idzie? Czy ktoś czeka i wygląda, czy wracamy już?

Nie odpowiadając, skręciła w boczną ulicę, zapominając, po co wyszła, czego szuka, leciała na oślep, byle uciec. Ale napastnik nie ustępował, słyszała jego kroki i pogwizdywanie operetkowej aryjki.

Po dobrym obiedzie wyszedł snąc bez celu, na spacer, i ściganie spokojnej kobiety założył sobie jako uprzyjemnienie wieczoru.

Ulice były prawie puste, a Stankarowa w swym przeobrażeniu zamiast kierować się ku ludniejszym, skręcała

w coraz samotniejsze. Wreszcie naprawdę straciła pojęcie, gdzie się znajduje. Nagle z narożnego szynku o dziesięć kroków przed nią wyszła na ulicę gromadka pijanych wyrobników, śmiejąc się i pokrzykując. Wtedy, zewsząd otoczona, stanęła, tuląc się do ściany. Napastnik z tego skorzystał. Przysunął się już, pewny swego, i poufale wziął ją pod rękę. Szarpnęła się ze stłumionym okrzykiem i rzuciła się naprzeciw gromady pijaków.

W jednej chwili była otoczona, obrzucona gradem grubych żartów i dowcipów. Zawróciła tedy i uciekała ścigana przez dwóch, podczas gdy inni gwizdali, cmokali, podniecali ścigających okropnymi konceptami. Szczęściem na drugim rogu stał policjant i przechodnie snuli się gęściej, była uratowana. Zatrzymała się sekundę, aby tchu nabrać, gdy wtem spostrzegła, że pierwszy napastnik, wytrzymały, szedł za nią i opodal stał, czatując, kiedy się oddali od stróża porządku publicznego.

Rozpaczliwie obejrzała się za dorożką i podeszła do stójkowego. Obejrzał ją od stóp do głowy, a gdy nie odchodziła, spytał:

– Co wam potrzeba?

Chciała go poprosić o opiekę, ale się złękła cyrkułu, protokołu, sprawy, a zresztą, jak oskarżyć o napaść człowieka, który stał spokojnie i oglądał wystawę spożywczego handlu?

Spytała tedy o drogę do domu.

Policjant objaśnił ją, wskazał ulicę, nie było powodu dłużej pozostawać. Jeszcze raz poszukała oczami dorożki, westchnęła ciężko i poszła. Ale już jej sił zbrakło, by uciekać, więc ledwie minęła kilka kamienic, napastnik był już obok i coraz natarczywszy, coraz zuchwalszy narzucał propozycje, targował ją, stawiał cenę. Wtem ukazała się wolno wlokąca dorożka. Kobieta zawołała, wskoczyła do

środką i czując się wreszcie uratowana, rzuciła adres. Doróżkarz rad z bliskiego kursu konia zaciął, w turkocie nie posłyszał krzyku kobiety. Napastnik w biegu wskoczył za nią i brutalnie wpół ją objął.

Odepchnęła go i nieprzytomna ze zgrozy wyskoczyła na ziemię. Upadła na bruk, poczuła okropny ból głowy i ręki, zerwała się jednak, umknęła na chodnik i wpadła w pierwszą bramę, pod nogi wychodzącej na ulicę kobiety. Tamta się usunęła.

– Można patrzeć przed siebie i nie potrącać! – rzekła.

– Mój Boże, to pani! – zawołała Stankarowa.

– Co się stało? Do nas pani idzie?

– Bóg mi panią zesłał. Przez litość, proszę mnie do domu odprowadzić!

– Ale co się stało? Ma pani krew na twarzy.

– Upadłam, potłukłam się. Jakiś drab mnie gonił! Niech mnie pani nie opuszcza!

– Ależ pani ledwie na nogach stoi. Proszę do nas wstąpić, odpocząć!

– Dziękuję, nie mogę. Dziecko samo zostało – i mąż czeka na piwo. Muszę wracać śpiesznie. – Mówiła gorączkowo, czując, że jej siły uchodzą z bólu i zmęczenia.

– A no, to chodźmy – odpowiedziała wybawicielka, kobieta już niemłoda, energicznie wyglądająca. Wzięła ją pod rękę i prowadziła, gderząc: – Co za sens wychodzić tak późno, samej jednej, gdy się nie zna miasta i jest się takim tchórzem, a no i taką ładną. Mnie nikt nigdy nie zaczepił, natura mnie zaasekurowała od podobnych wypadków, ale nie pojmuję, jak się można bać i uciekać. Ja bym mu powiedziała parę słów takich, że odpadłaby go ochota od napaści na długo. Co pani? Słabo?

– Zdaje mi się, że zwichnęłam rękę, padając. Strasznie boli. Czy jeszcze daleko?

– Sto kroków. Mocno się proszę oprzeć na mnie. Mogę panią unieść całą na rękach.

Wtem Stankarowa zadrżała i cofnęła się.

– Boże, on znowu. Tam stoi, widzi pani, przy bramie i czatuje. Powiedziałam adres dorożkarzowi.

– Nie bójże się pani ze mną. To ten! – podniosła głos, korzystając, że było pusto. – Taki podlec to nawet na złodzieja się nie zdał, bo do tego fachu trzeba odwagi i strach kary. Czy nie lepiej napadać na kobiety bezbronne. Bardzo honorowy proceder. Małpa taka, której pomywaczka by nie chciała, wyobraża sobie, że byle raczył wybrać kobietę, już ją zdobył. Po szynkach się walał całe życie i po sobie ludzi sądzi – bydlę brudne!

Napastnik wysłuchał wszystko i uznał zapewne naganę za chybioną, bo szybko przeszedł na drugą stronę ulicy i zniknął, a energiczna kobieta rzekła triumfująco:

– Widzi pani! Tak go trzeba było przyjąć, zamiast uciekać. No – droga wolna.

Ale i siły Stankarowej były wyczerpane. Oparła się o bramę i szepnęła:

– Dziękuję pani za opiekę. Teraz muszę iść po piwo.

– Tak, do bawarii, między pijaków. Jeszcze lepiej. Idź pani na górę, stróż piwo przyniesie.

Wywołała cerbera i w dwa słowa załatwiła interes, potem prawie zaniosiła Stankarową na trzecie piętro.

Co dalej się z nią działo, nie pamiętała biedna kobieta. Gdy Stankar dobrze po północy wrócił do domu, zdziwił się mocno, gdy mu otworzyła nieznajoma kobieta. Nie czekając pytania, rzekła:

– Czekałam, aż pan wróci. Jestem Zarębianka, znajoma żony pana. Odprowadziłam ją do domu, ma zwichniętą rękę, poranioną twarz i stłuczony bok prawy. Doktor był, rękę nastawił – no – i piwo pan ma. Dobranoc,

przyjdę jutro rano dzieckiem się zająć, bo chora dobrze jak za tydzień wstanie.

Powiedziała to prędko, ubierając się, i zanim z podziwu zebrał się na odpowiedź, wyszła, zamykając drzwi za sobą.

Zapalił świecę i wszedł do sypialni. Kobieta leżała, nie śpiąc, przygotowana na scenę gniewu i wyrzutów. Rękę prawą miała w bandażach i skroń ze skóry odartą, rozszerzonymi bólem oczami wpatrywała się w niego.

– Ładnieś się urządziła! Co to? Wpadłaś pewnie pod dorożkę?

– Napadł na mnie jakiś pijak, gonił, ścigał! Wzięłam dorożkę, on za mną wskoczył. Uciekałam, padłam na bruk – opowiedziała urywanym szeptem.

Ruszył niecierpliwie ramionami.

– Ten dopiero miał za kim się uganiać – mruknął pogardliwie. – A z ciebie też typowa gęś wiejska. Ciekawym, co teraz będzie. Do wszystkich przyjemności domowego ogniska przybędzie mi niańczenie tego opętanego dziecka. Tfu!

Splunął, wyszedł z sypialni i usiadłszy przy swym stole, wziął głowę w ręce i pogrążył się w ponurej zadumie.

I nie wiadomo, które było nieszczęśliwsze, bardziej znękanane dolą z ich dwojga – połączonych na życie wielką miłością!

WYDAWNICTWO BUKOWY LAS



wydawnictwobukowylas




bukowy.las

www.bukowylas.pl

KUP TERAZ



swiatksiazki.pl

The book cover features a deep red background adorned with various botanical illustrations. At the top, there are clusters of raspberries and several flowers, including white and pink blossoms. A yellow silhouette of a bird is shown in flight on the left side. The bottom of the cover is decorated with more raspberries and green leaves. The text is centered in a white, serif font.

Kiedy malarz Jan Stankar poznał wychowaną na spokojnej wsi Tolę, wydawało się, że będzie to idealny związek dusz. Ani jedno, ani drugie nie pomyślało wtedy, że życie ma też stronę prozaiczną. Gdy młode małżeństwo znajduje się w Warszawie bez grosza, za to z małym dzieckiem, świat przestaje wyglądać tak różowo. Czy silne uczucie, jakim darzyli się na początku znajomości, przetrwa próbę czasu?

Nr 21000244

ISBN 978-83-8074-789-0



9 788380 747890



bukowylas.pl

Cena: 49,90 zł